

GONIEC CZĘSTOCHOWSKI

z urzędowymi ogłoszeniami władz.

Wydawca: Franciszek Sowiński.

Olbrzymi pancernik angielski zatopiony Englisches Schlachtschiff versenkt. / Nordische konferenz

Japonia protestuje przeciwko kontroli morza

Podejrzane ruchy okrętów brytyjskich
na wodach Dalekiego Wschodu.

Tokio, 14 października.

Jak donosi „Nitschi - Nitschi” z powodu powtarzających się meldunków o częstym atakowaniu okrętów japońskiej służby patrolującej przez okręty angielskie, w pobliżu wód cesarstwa Japonii, japońskie kierownictwo marynarki zarządziło wniesienie protestu do tutejszego poselstwa brytyjskiego.

Otrzymał w związku z tym nowe oświadczenie poselstwa angielskiego jest tak samo krótkie i niewystarczające w „umotywowaniu” tych niesłychanych napadów, od poprzednich wyjaśnień tutejszego angielskiego attaché morskiego. Według wyjaśnienia angielskiego, sformułowanego w piśmie attaché jest to dozórowanie japońskich wybrzeży i fakt nie powinien być „ładną obrazą”

Nachrichten und Berichte in deutscher Sprache auf der dritten Seite

dla Japonii! Zdecydowano również, by niemieckie wpływające i wypływające okręty zatrzymywać.

Poselstwo nie dało żadnej odpowiedzi na pytanie co oznacza fakt przebywania angielskich krążowników, łodzi podwodnych i okrętów niszczycielskich na zachód i południe od Kiuschu i na wodach między wyspami Kiuschu i Schikoku. Tutejsze koła polityczne określają, że pobyt i zachowanie się okrętów angielskich na wodach terytorialnych japońskich godzą w interesy strategiczne Japonii.

W międzyczasie napływają coraz to nowe meldunki o zagrożeniu japońskich dróg wodnych. Agencja Nippon-Yusen Kaisha zawiadamia, że dwa okręty japońskie, mianowicie „Fushimi Maru” i „Hakozaki Maru”, obydwa około 11.000 ton, zostały zatrzymane w Marsylii. Linia morska poczyniła już odpowiednie kroki, by uwolnić wymienione wyżej okręty.

Tutejsze koła polityczne nadmienają, że wojna prowadzona jest głównie przeciwko państwom neutralnym i że Anglia gwarantuje jedynie „wolność dróg morskich” dla swych własnych okrętów.

Gdy Niemcy na angielską blokadę odpowiedzieli tą samą bronią i zastosowali globalną blokadę przeciwko Anglii, to propaganda angielska próbowała zmobilizować wszystkie państwa, by wystąpiły przeciwko Niemcom. Anglia podniosła wówczas krzyk, że Rzesza stosuje „zasady zabronione przez międzynarodowe układy”, że chwytła się „metody gwałtu” wobec innych państw.

Pierwsze połączenie kolejowe Królewiec - Warszawa

Dzięki szybko przeprowadzonej odbudowie kolei oraz ofiarnej pracy pionierów i zarządu kolei Rzeszy stworzone zostało połączenie kolejowe Prus Wschodnich przez Warszawę ze Śląskiem. W czwartek wieczorem odszedł z dworca w Królewcu w kierunku na Warszawę — Śląsk pierwszy pociąg osobowy

Angielski okręt „Royal Oak” zatopiony Atak niemieckiej łodzi podwodnej na największy okręt Anglii

Według wiadomości, nadanej przez radio angielskie, wojenny okręt brytyjski „Royal Oak” o wyporności 29150 tonn został zatopiony przez niemiecką łódź podwodną. Lista nazwisk uratowanych załogi będzie ogłoszona.

Zatopiony okręt brytyjski posiadał załogę złożoną z 1100 ludzi, uzbrojenie składało się z ośmiu dział 32 cm., dwunastu 15,2 cm., ośmiu dział przeciwlotniczych 10,2 cm. oraz wielu armat przeciwlotniczych mniejszego kalibru.

Gospodarstwo Anglii stoi wobec poważnych trudności

Skargi na nieszczęśliwych „organizatorów” wojny mnożą się w Anglii z dnia na dzień. W Izbie Gmin podniesione zostały żądania racjonalizacji zapotrzebowania w dziedzinie produkcji węgla, gazu świetlnego i elektryczności, ponieważ dotychczasowe bezsensowne zarządzania w tym kierunku spotkały się z ostrym sprzeciwem robotników zatrudnionych w tych działach przemysłu. Jeden z posłów oświadczył, że 14 kopniaków węgla jest nieczynnych, gdy cały szereg miast, wobec zbliżającej się zimy, domaga się dostarczenia węgla na opał. Mali dyktatorzy — stwierdził poseł —

robią wszystko ażeby utrudnić o ile to możliwe życie narodu angielskiego. Izba określiła wydane zarządzenia jako „największe absurdy” i „karygodne głupstwa”.

Jako następny przykład działania na szkodę gospodarstwa angielskiego „demokratów wojny” może posłużyć fakt, organizacja handlu według rozporządzeń rządu podporządkowana została nonsensownym, a niszczącym zarządzaniom wojennym, które w rezultacie doprowadzić musi do upadku tej dziedziny życia gospodarczego.

Lindbergh ostrzega

Znany amerykański lotnik transoceaniczny major Lindbergh zwrócił się do narodu Stanów Zjednoczonych, by zachował neutralność. Ostrzeżenie to skierował w formie groźby pod adresem Anglii i Francji, by zechciały zrozumieć sprawy amerykańskie i respektowały wolność i niezależność kontynentu Ameryki. Mowa Lindbergha transmitowana była przez 133 stacje nadawcze; wysłuchał jej miliony Amerykanów.

Lindbergh w swej mowie sprzeciwiał jak należałoby faktycznie przeprowadzić plany neutralności U. S. A. i do Anglii i Francji wystosował żądanie zupełnego wycofania się ze sfery wpływ politycznych na zachodzie, ponieważ Stany Zjednoczone przeżyły już próbę Anglii i Francji wciągnięcia Ameryki do wojny.

„Pragniemy przyjaźni z narodem kanadyjskim. Gdy Kanada zostanie przez kogoś zaatakowana, flota nasza będzie bronić wybrzeży Kanady, żołnierze nasi walczyć będą na kanadyjskich polach bitew, i lotnicy nasi będą umierać za Kanadę. Lecz jakie prawo usiłuje wciągnąć nas do europejskiej wojny? Wcześniej czy później musimy zagwarantować wolność naszego kontynentu wraz z otaczającymi wyspami przed zachłannością europejskich mocarstw demokratycznych. Historia amerykańska jasno postawiła sprawę ze względu na tę konieczność. Jak długo mocarstwa europejskie będą miały wpływ na naszą sferę polityczną, powstaje prawdopodobieństwo, że będziemy zawiązywali w spory europejskie. Żadnej okoliczności nie pomina, żeby nas do tego wciągnąć”.

Następnie zwrócił się Lindbergh przeciwko obecnemu zakazowi podnoszenia broni. „Nie wierzę, że wojna jest tylko dla demokracji. Jest to wojna dla wzajemnego przeciwstawienia się mocarstw europejskich, wojna Niemiec ze wzglę-

du na siłę, wojna Anglii i Francji z obawą przed wzrastającą siłą. Im więcej amunicji będą posiadali walczące z sobą armie, tym dłużej będzie trwała wojna, tym więcej zniszczona będzie Europa i tym mniejsza nadzieja demokratyzowania kontynentu. Gdyby Anglia i Francja podała wyciągniętą reke, jak to było demokratycznie załatwione ze strony Niemiec, nie byłoby dziś żadnej wojny”.

Lindbergh przestrzega dalej przed podżegaczami wojennymi i że Ameryka chce uniknąć wojny. Byłoby to nieszczęściem, że amerykańscy kierownicy niektórych grup woleliby chętniej poświęcić życie amerykańskie niż swe własne dolary. Nie możemy im dać do tego żadnej sposobności.

Ostrzeżenie przed błędami Wilsona

Senator republikański Taft, który ucho dzi za przyszłego kandydata na prezydenta St. Zjednoczonych oświadczył w jednej z mów w „Klubie Młodych Republikańców” w Nowym Jorku, że przeważającą część narodu Stanów Zjednoczonych jest zdecydowana nie brać udziału w wojnie europejskiej.

Taft zwrócił uwagę na błędy Wilsona i przestrzegł, by nie powtórzyły się one obecnie wśród zwolenników tej polityki.

Konferencja państw północnych

Król Szwecji — jak komunikują urzędowo — zaprosił do Sztokholmu na konferencję: królów Danii i Norwegii oraz prezydenta Finlandii. Zarówno król Danii jak i król Norwegii oraz prezydent Finlandii zaproszenia przyjęli i udadają się do stolicy Szwecji w towarzystwie swoich ministrów spraw zagranicznych. Termin konferencji w Sztokholmie ustalony został na dzień 18 października b.r.

Japonia oburzona na Anglię

Sprawa kontroli japońskich okrętów handlowych prze jednostki floty wojennej angielskiej na wodach terytorialnych Japonii stanowi przedmiot bezsensownych wyjaśnień morskiego attaché Anglii w Tokio.

W kołach japońskich po nic nie znaczących wyjaśnieniach przedstawicieli Anglii, krok angielski uważany jest za dziwny i wyzywający.

Nowa wymiana zdań Tokio - Moskwa

Zastępca komisarza spraw zagranicznych Losowski w dniach 12 i 13 października przyjmował japońskiego posła w Moskwie Togo. Przytem omawiano kilka kwestii dla wyrównania sowiecko-japońskiego porozumienia z dnia 16 września. Szczególnie zajęto się sprawą powołania specjalnej mieszanej komisji dla uregulowania granicy mandżuńsko - mongolskiej.

Nowa granica rosyjsko- litewska

W zamieszczonych na łamach gazet moskiewskich mapach wykreślono nową granicę pomiędzy Rosją i Litwą. Biegnie ona od południowego wierzchołka granicy Łotwy do miejscowości Driswity, Święciany, Kemelszki i Sołecznik. Obszar Wiliejszczyzny, należący do Litwy sięga korytarzem na północ, do granic Łotwy, a dalej do ujścia Uli na obszar Kłajpedy, skierowując się następnie do dawnej polsko-litewskiej granicy.

Komunikat z frontu

Naczelne Dowództwo Armii Niemieckiej komunikuje:

Na wschodzie po zajęciu odcinka nad Bugiem, obsadzenie granicy interesów niemiecko-rosyjskich dobiegło końca. Na zachodzie słaba działalność artylerii.

W walce powietrznej samoloty myśliwskie oraz broń przeciwlotnicza zestrzeliły, nie ponosząc żadnych strat trzy nieprzyjacielskie samoloty w rejonie Schleiden, Idaroberstem i Mayen.

Gospodarczy układ z Bułgarią

Sofia, 14 października.

W Sofii przeprowadzone rozmowy na tematy gospodarcze z niemiecką delegacją pod przewodnictwem delegata z ministerstwa dr. Landwehrem zostały uwieńczono pomyślnym skutkiem. Układ, który w duchu przyjaźni został zawarty, wobec obecnej sytuacji międzynarodowej nie przedstawiał żadnych trudności do osiągnięcia.

Podpisane zostaną poszczególne układy, które uregulują obustronne interesy gospodarcze i na szerszą skalę zakrojoną niemiecko-bułgarską wymianę produktów.

Japończycy opuścili Londyn

Kobiety i dzieci japońskie, w liczbie 150 osób, opuściły w dniach ostatnich Londyn. „News Chronicle” pisze, że japoński ambasador w Londynie zalecił wszystkim obywatelom japońskim odeślanie kobiet i dzieci do ojczyzny. Kolonia japońska w Anglii składa się z około 1000 osób.

Anglia dostarczyła Polsce gazów trujących

Złamanie prawa międzynarodowego

Berlin, 12 października.

Już w pierwszych dniach marszu wojsk na ziemiach polskich do komendantury armii niemieckiej dochodziły meldunki wojskowe, że Polska w walce stosuje gaz trujący.

Potworne zbrodnie przeciwko prawu międzynarodowemu, musi być wyjaśnione. Natchmiast zarządzone poszukiwania, przeprowadzone je ze szczególną pieczołowitością. Wszystkie cywilizowane państwa zaakceptowały układ z dn. 17 czerwca 1925 r. o użyciu gazów trujących, układ niezmienne ważny. Obecnie jesteśmy w takim położeniu, że musimy zapoznać publiczność o okrutnym fakcie zastosowania trującego gazu przez polskie oddziały wojskowe. Gaz trujący do Polski został dostarczony przez Anglię.

Następujące fakty mówią same za siebie:

1. Dnia 8.9.1939 r. o godz. 20 rozpoczął batalion pionierów usuwać miny przy jednym z mostów na wschodnich krańcach miasta Jasła. W tym czasie wydarzyła się ciężka eksplozja, zabijając większość pionierów, przytem kilku zostało rannych. Na drugi dzień zauważono u rannych, jak i również u większej liczby nieustraszonych pionierów typowe plamy od oparzenia iperytem.

Z pionierów, którzy wdychali ten gaz, dwóch natychmiast zmarło po przewiezieniu do szpitala, następni dwaj na skutek strasznych cierpień z powodu zapalenia dróg oddechowych. Wśród żołnierzy nieoparanych oddziałami bomby, nie mających pojęcia, iż zostali zatruci iperytem (gaz o smaku żółtym krzyżem), którzy spalili w ubraniach, już następnego dnia widoczne były charakterystyczne objawy wspomnianego gazu. Także tych przewieziono później do szpitala w Jasle, gdzie cierpią na skutek strasznych następstw oparzeń gazowych. Niektórych czeka straszny los okrutnej śmierci.

2. Dnia 13.9. wysłano wojskową komisję pod kierownictwem pułkownika wojsk niemieckich i lekarza sztabowego na miejsce wypadku do Jasła i również do innych szpitali, w których znajdowali się zagrożeni chorzy. Komisja stwierdziła bezspornie, że gaz pochodził z min wypełnionych iperytem, u chorych zaś zauważano typowe objawy strasznych oparzeń iperytowych.

3. Skoro wiadomość o użyciu przez wojska polskie iperytu znalazła się na łamach prasy zagranicznej, biuro Reutersa podało następujące wyjaśnienie polskiego poselstwa w Londynie:

„Poselstwo polskie w Londynie oświadcza, że wiadomość nadana przez radio niemieckie, jakoby wojska polskie używały bomb gazowych, jest zupełnie bezpodstawna.

Po otrzymaniu takiego oświadczenia z Londynu, odpowiedzialne czynniki niemieckie dały możność kilku obserwatorom państw neutralnych, przekonania się na miejscu o stanie faktycznym.

Tak więc udali się do Jasła Korespondenci następujących pism zagranicznych: przedstawiciel „Chicago Daily News” pan Denel, z „Associated Press” pan Schenke, z „Stockholm Tidningen” i „Basler Nationalzeitung” pan Laseronel. Reportarze tych dzienników zgodnie stwierdzają fakt użycia przez Polaków gazów iperytowych.

4. Lecz aby uprzedzić i zaćkać kłam wylewom i unieknięciem angielskiego ministerstwa kłamstw, niemieckie czynniki odpowiedzialne uprosiły profesora szwaj-

carskiego pana Rudolfa Stachelina z Basli, by wydał lekarskie oświadczenie o ciężko rannych z Jasła.

Poniżej zamieszczamy dokładny tekst diagnozy szwajcarskiego profesora:

„Dnia 29.9. badałem w Jasle żołnierzy niemieckich i stwierdziłem u dziewięciu nie następstwa zatrucia iperytem, u dziesięciu zaś objawy nie tak charakterystyczne na tyle bym mógł o nim z całą pewnością to samo oświadczyć. U dziewięciu rannych z charakterystycznymi objawami mogę bezwarunkowo stwierdzić na podstawie typowego wyglądu plam zatrutych na ciele, ich umiejscowieniu, że zatrucie nastąpiło bezspornie gazem należącym do grupy gazów iperytowych mniej więcej przed tygodniem. U czterech były jeszcze ślady lekkiego zapalenia oczu i dróg oddechowych, u jednego znalazłem katar oskrzeli (bronchit). Zauważyłem po wyższe objawy na ciele dającą reakcję, że użycie gazu żrącego-parzącego, zwanego iperytem (Dichloroethyl sulfid-Yperit).

luty środek o podobnym działaniu nie jest znany.

Według zeznania ośmiu z spośród dziesięciu rannych żołnierzy, w czasie oczyszczania najbliższego dołu powstałego na miejscu z poprzedniego wybuchu nastąpiła eksplozja bomby gazowej o dalekośmierznym locie.

Tylko dwóch żołnierzy odprowadziło gazowanych, u wszystkich dały się zauważyć objawy zatrucia dopiero w parę godzin po pracy, a ponieważ nikt nie miał pojęcia o tym, zdzieli oni ubranie dopiero później. Również i powyższe symptomy dokładnie ilustrują zatrucie gazem żrącym-parzącym.

Oświadczone mi również, iż trzech żołnierzy leży w innej miejscowości, a czterech zatrudnionych przy wspomnianej pracy zmarło na skutek zapalenia płuc i to także wskazuje na zatrucie gazem żrącym-parzącym.

Berlin, dn. 21 września 1939 r.

podpisany

Profesor R. Stachelin.

Niebywałe zajście w Izbie Lordów

Przedstawiciel rządu musiał przeprosić izbę.

W angielskiej Izbie Lordów doszło do niebywałego zajścia pomiędzy reprezentantem rządu lordem Stauhope i kilku członkami Izby. W czasie debaty lord Stauhope zwrócił się przeciwko jednemu z członków, który krytykował różne zarządzenia rządu, a przedewszystkiem fakt, że członkowie Izby, biorący udział w posiedzeniach i ubrani w mundur wojskowy nie mogą zabierać głosu. To niczym nieuzasadnione stanowisko lorda Stauhope wywołało oburzenie całej Izby, w łonie której młodzi członkowie znajdowali się w mundurach.

Kiedy w dalszej debacie jeden z młod-

zych oficerów marynarki zaatakował lorda Stauhope za jego stanowisko, przedstawiciel rządu zmuszony był przeprosić izbę za swój niepożyczalny krok.

Zajście wywołało przykre wrażenie. Lord Stauhope był do lata b. r. ministrem marynarki, a obecnie jest prezydentem tajnej rady, która to godność pozbawiona jest zupełnie jakiegokolwiek znaczenia i ma charakter reprezentacyjny. W opinii fachowców lord Stauhope uważany jest za bezwartościowego członka gabinetu angielskiego.

Z miasta i okolicy

Z niedzieli

Po kilku dniach chłódów i jesiennej słoty, zdawałoby się beznadziejnej, znowu piękna i słoneczna pogoda zapowiada się na dłuższy czas.

Ub. niedziela upłynęła pod znakiem typowej „złotej jesieni”. Korzystając z pięknego i ciepłego dnia, miasto zaroziło się ludnością, spacerowiczami przez cały dzień zapelniali wszystkie ulice i parki. Wiele osób spędziło popołudnie poza miastem na polach i łąkach, gdzie pajęczym „babiego lata” rozsuwały srebrne nici, a drzewa strząsały złote i czerwone liście usłasy z nich barwne kobierce. Zamiatani w sporcie wędkarskim do późnego wieczora wysiadywali nad rzeką.

Obecna pogoda ustabilizowała się — miejmy nadzieję — na czas dłuższy i be-

dziennej mieli możność rozkoszować się ciepłem i słońcem.

Z Jasnej Góry

Wczoraj jak w każdą niedzielę — nabożeństwo na Jasnej Górze rozpoczęły się uroczystym odczytaniem Cudownego Ożarowa. W północnej Kaplicy (dprawno) została przynajmniej z godzinami, a o godzinie 10-jej wierni zaczęli wypełniać wnętrza Bazyliki. O. Bonaventura celebrował uroczystą sumę, podniósł zaś kazanie, pełne głębokiej treści wygłosił do wiernych O. Marian Paszkiewicz. Po nabożeństwie zabrzmiała potężna, chóralna pieśń Suplikacyj.

Warto zaznaczyć, że na nabożeństwo przybyło dużo niemieckich żołnierzy.

Po południu odprawione zostały nieszpory, oraz różaniec z nauką.

Eugrany Szalery

NOVELKA.

Przestrzeń była pusta. Jak daleko okiem sięgnąć, snuły się tylko wstęgi torów i wysterczały z nawierzchni słupy telegrafu. Gdy na chwilę sięchał wiatr, odzywały się na drutach stłumione mrużenie prądu, — gdy wracał wiatr, zasilony świeżą rzeszą podmuchów, głucho gawęda depeza, a skarzył się żalostnie przewrót.

Z przydrożnych drzew sfruwały od czasu do czasu pozostałości liście i porwane w szpony wicherowych wirów, przetręcały się przez nasyb, hen na drugą stronę lub wyciążnięte w zwidy, szleszcząc orszak, toczyły się smutno wzdłuż toru. Na niebie jesienno szmerze rozścielił plachty z chmur i oddał świat w barwy szarej nudy. — W chmurze z mgieł, w szalu z dżdżów błakała się po polach cicha melancholia...

Szatera ogarnęła się mocniej plasmem, podniósł kofinierz i szedł dalej. Naczelnik stacji lubił te przechadzki w stronę Kniejowa o wieczornej porze, gdy wszystko mętniejsze, kontury zacierają się i bierze świat we władanie królestwo zmroku. Lubił te przedziwne godziny pod suchymi łbami, gdy cienie zasnuwają ziemię i rodzi się wielka tajemnica. Każde drzewo, każdy kierz, każdy wiatrak lub kamień śródpola, przybrałszy się w przyrodzie zagadek, ludzi i mami i zwodzi. Z zautków zmierzchu wychyla się, nienazwany, proste pokurzone drzemka czołony, podnosi głowę, uśmiecha się. Biedny upośledzony stwór szarej godziny.

Naczelnik stacji w Zakliczu rozumiał głęboki jej liryzm, bo czuł, że w melodii zmroku płyną jego własne, najserdeczniejsze tony...

Ludwik Szatera był kochanikiem wspomnień, bo nie mógł nigdy pogodzić się z wiecznym mijaniem ludzi, zdarzeń i rzeczy. Każda chwila, zapadająca nieodwołalnie w przeszłość miała dlań wartość bezcenną, nieprzepracowaną i każdą żegnał z uczuciem niewysłowionego żalu. Cóż by dał za to, by móc ją zwrócić z tej drogi, zatrzymać

znikającą tam na zakręcie! Lecz, że wiedział, że ofiara byłaby daremna i tego, co minęło, nie obali, przeto życie stało się w końcu różaniem pożegnania i rozstań, jedną wielką, nabrzmiałą bezkresnym liryzmem żałoba, śpiewaną w węglinach wewnętrznego serca temu, co przeszło i rozwiło się w dali...

Od dwóch lat o zmroku godzinie, gdy już przeszły wszystkie pociągi i był wolny od służby aż do trzeciej nad ranem, wybierał się Szatera na przechadzkę zawsze w jedną stronę: w kierunku nieistniejącego już dzisiaj przystanku w Kniejowie. Przed rokiem stał tu jeszcze budyneczek stacyjny z wieżyczką zwrotnicową przed wejściem, z dwoma semaforami i parą stawideł. Kierownik stacji, oddalony zaledwie o 4 kilometry od Zaklicza, był przyjaciół Szatery, asystent Dron, cicha, dobra dusza i gorliwy urzędnik. Przystanek w Kniejowie, przy którym zatrzymywały się tylko pociągi towarowe, miał właściwie znaczenie stacji przelkowej dla wozów ciężarowych, które, przesunięte na boczny tor, odpoczywały tu przez pewien czas, zanim puszczono je w dalszą drogę.

Placówkę tę, istniejącą od niepamiętnych lat, nagle, ni stąd, ni zowąd, zwinęto. Czy okazała się już zbędna, czy też obciążała niepotrzebnie budżet kolejowy, nie wiadomo, dość, że władze stację zamknęły. Dronia przeniesiono gdzieś na Kresy, a zwrotnicowego Zaka przydzielono do służby na stacji w Pochmarzu. Z dawnego przystanku nie pozostało ani śladu: budynki rozebrano do szwasty, obiekty i sygnały pousuwano. Zniknął z powierzchni ziemi nawet ogródek, otoczony sztachetami, w którym spodzili z przyjaciółmi tyle wieczornych godzin, poróżniwały nawet szyny do przetaczania wozów. Tylko kamień milowy, biejący o parę kroków od słupa telegraficznego, wskazywał miejsce, gdzie była niegdyś stacja.

Ten kamień, widomy ślad życia, które tu zamarało, ten kamień, biały świadek zdarzeń, co przebrzmiały bezpowrotnie, stał się celem wieczornych przechadek Szatery. Zwyczajnie wychodził naczelnik z Za-

klicza po wyekspediowaniu ostatniego pociągu około piątej i po godzinnym marszu docierał do kamienia milowego w Kniejowie. Pod rozróżnionym słońcem latem i wiosną, a pod burzą pomyślał w porze zimowej i u schyłku jesieni siadał na tym białym szczytku przeszłości i w głębokiej zadumie palił fajeczkę. Towarzyszyły mu zawsze wiernie smutek przestrzeni i wielka cisza północy. Gdy wracał do siebie, do Zaklicza, bywał już całkiem cicho...

Tak minął rok od czasu zamknięcia przystanku. Wędrował ku Kniejowu przesyłając co niedzielnego, coś, bez czego życie nie można — stały się „drugą naturą”. Szatera czuł się chorym, ilekroć okoliczności ułożyły się tak fatalnie, że nie mógł odbyć eweł wieczornej przechadzki.

Aż zaszedł fakt, który zdawał się wynagradzać go za wierność serca, wypielając w sposób wyjątkowy tęsknotę wielu dni...

Było tydzień temu, w pamiętny dzień 9 października.

Wieczorem, jak zwykle, koło piątej przywdział Szatera nowy mundur, narzucił na ramiona świeżo sprawiony sznurek z odznakami naczelnika i naciśnawszy mocno czapkę służbową, ruszył ku Kniejowu.

Wieczór był, jak dzisiaj, ponury i smutny. Na niebie borykały się z wiatrami olowiane chmury — dżdżyl deszcz, jakby przesiany przez przetak, a ponad rzeźbienie wicher wybił się od chwili do chwili ochrypły skwir zmokłych wron i kawk.

Naczelnik przyspieszył kroku, smutny i bardziej przygnębiony, niż zwykle. Wieczór ten rozkołysał w nim silniej, niż kiedykolwiek, fale wspomnień. Do dnia tego przyspadała rocznie zwinięta stacja. Pamiętał, jak dziś, chwilę rozstania z przyjacielem. Nagle w czasie pogawędki Dron umilkł i szybko podszedł ku oknu, jakby wypatrzył coś na przestrzeni. Po chwili odwrócił się i podając mu rękę na pożegnanie, rzekł krótko zdławionym głosem:

— Bywał zdrow, mój stary. Jutro wyjeżdżam.

— Dokąd! — zapytał zaniepokojony.

— Na Kresy, gdzieś do jakiejś stacji hulańskiej, gdzie djasek dobranoć mówi.

— Zartujesz?

— Gdzie tam. Rozkaz. Jutro zamykają budę. Zbędna. — I, ucieśnawszy go, niemal gwałtem wypchnął za próg. Stary dzwiał biał, by w obecności druhna nie ryknął płaczem i bronił się przed samym sobą.

Nasajutrz zaczęło rozbierać stację... Stało się rok temu, mniej więcej o tej samej wieczornej godzinie... Dziś chwila ta wracała na skrzydłach jesiennego wichru, w poszeptach zwijających liści, w melodiiach dżdżu. Roznośca...

Szatera był już niedaleko miejsca, gdzie stała niegdyś stacja. W mętnej poświacie zmierzchu białal już trzon kamienia... Wtem podniósłszy wzrok, zadął. Nad torem, po prawej stronie przestrzeni, błyszczał z daleka w mrokach wieczoru świetlny sygnał: dwójce dużych, złotych oczu.

— Co to? Czyżby semafor redivivus?

I przyspieszył kroku w stronę znaków. Lecz gdy zbliżył się na linie kamienia, światła nagle pogasły. Zo ścięniętym sercem zaczął szukać słupa sygnałowego. — Lecz szukał na próżno. Wszak usunęto go jeszcze przed rokiem.

— Wieg skąd te latarki tam w górze! — Przyswiedzenie, czy co, u licha... A może to trochę za stacją, po tamtej stronie! I minawszy słupki milowy, zapuścił się dalej w kierunku Wyznanki. Lecz gdy po kwadransie drogi nie natknął się na upragniony obiekt, zawrócił ku Kniejowu.

— Widocznie przywidziało mi się — wywieszkował, zmierzając ku miejscu ubionego postępu.

Lecz ktoś opisał jego zdumienie, gdy teraz ujrzał ponownie nad sobą na wysokości jakichś 6-ciu metrów parę krwawo jarzących się znaków; zmieniłony sygnał ostrzegł czerwonym światłem, że przatrzeł zajętą.

Szatera przetarł oczy raz i drugi, nie dowierając sobie. Zwid mu zniknął — wciąż płonący tam nad nim ogniste latarki, zawieszone na ramieniu niewidzialnego semaforu.

Naczelnik usiadł na kamieniu i, zapaliwszy fajkę, wpatrywał się, jak zahypnotyzowany, w sygnał ostrzegawczy. C. d. n.

Polen, Engländer, Franzosen

Aufschlussreicher Besuch in einem Offiziers - Gefangenelager

Ein Sonderberichterstatter hatte Gelegenheit, ein Offiziersgefangenenlager zu besuchen und sich mit gefangenen englischen, französischen und polnischen Offizieren zu unterhalten.

Das erste Anzeichen des Lagers ist ein Bretterzaun, an dem noch gearbeitet wird. Man will die Insassen — 800 Offiziere und vielleicht 150 als Bedienung abkommandierte polnische Mannschaften — den Blicken Neugieriger entziehen, die peinlich empfunden werden müssen. Dieser erste Eindruck wird vertieft, je länger und eingehender wir uns mit der Kaserne, einem neuen, modernen Backsteinbau, befassen: Es sind Offiziere, die gekämpft haben wie es ihre Pflicht war, und die jetzt als Gefangene korrekt behandelt und anständig untergebracht und verpflegt werden. So ist es deutsche Soldatenart.

Als wir eintreffen, sind die Insassen gerade bei einem ausgedehnten vormittäglichen Sonnenbad mit Zigaretten und Kartenspiel. Wären nicht die Posten mit Gewehr und nicht der Stacheldraht, man könnte meinen, in die Freistunde eines polnischen Regiments geraten zu sein. Pfeifensignale! Alles erhebt sich, nimmt Aufstellung. Polnische Offiziere führen die Kompanien auf die Stuben. Und der deutsche Oberst, der hier das Kommando führt, erklärt uns die Einteilung. Je ein Stockwerk — es mag immer rund hundert Mann beherbergen — ist zu einer Kompanie zusammengefasst, für die ein polnischer Offizier Aufsicht und Verantwortung hat. Mann hat hierfür natürlich Männer ausgesucht, die der deutschen Sprache mächtig sind. So spart man die Dolmetscher und hat immer Ordnung.

Wie nun ist der Gang der Dinge, wenn ein neuer Schub eintrifft? Die frühere Exerzierhalle ist mit Stroh ausgeschüttet. Hier wird der Transport gesammelt, verpflegt, eingeteilt auf die verschiedenen Zimmer. Hier muss sich alles dann erst einmal kräftig heiss abducken, damit die krabbelnden Insektenüberfälle gar nicht erst in die Kaserne eingeschleppt werden. Das Zeug wird gebündelt abgegeben zwecks Entlassung. Wie wir hören, soll sich die Reinigungskur grösster Beliebtheit erfreuen; sind doch unter den Eingelieferten Männer, die acht, zehn Tage und länger die Kleider nicht vom Leib bekommen haben. Den Rekord hält hier

ein 67 jähriger Oberst, der berichtet, er sei seit sechs Wochen nicht aus den Stiefeln gekommen.

Dann ist Mittagszeit. Im Essraum duftet es würzig nach Kohl. Draussen wartet die zweite und dritte Kompanie. Durchweg alles schlank und kräftige Gestalten. Manches Gesicht darunter markant und hervorstechend. Manche Figur aber auch, die man sich schwer an der Spitze einer Kompanie, vor der Front oder über die Landkarte gebeugt, vorstellen kann. Zugegeben, die Situation der Männer ist wenig hoffnungsvoll. Deutsche Offiziere aber — befänden sie sich in der gleichen Lage — würden mehr Haltung, weniger Gleichmut und ganz bestimmt mehr Stolz zum Ausdruck bringen.

Vor uns steht ein polnischer Rittmeister von den Graudenzern Ulanen. Schlank Figur, scharfgeschnittenes Gesicht, eine Erscheinung weit über dem Durchschnitt seiner Kameraden. „Wie sind Sie hier im Lager zufrieden?“ —

„Danke, sehr gut. Die Behandlung ist korrekt, die Unterkunft einwandfrei und das Essen kräftig und ausreichend“, antwortet uns der Pole in fließendem Deutsch. Mehr kann man aus dem Munde eines Gegners nicht verlangen, denn diese Tausend zwar gefangen, aber dennoch Gegner sind das, kann ihnen niemand verargen. Und dann erzählt uns der Rittmeister die Geschichte seiner Gefangennahme. Er war von seinem Regiment abgekommen und von deutschen Truppen eingeschlossen. Das Pferd schoss ihm ein Karabinerschütze unter dem Leibe weg. Es begann eine Flucht auf Leben und Tod. Der Pole, im Vorteil durch bessere Geländekenntnis, kam an die Weichsel, die er in voller Uniform schwimmend durchquerte. Auf der anderen Seite fand er endlich ein noch nicht besetztes Dorf, in dem er auszuruhen beschloss, denn vier Tage und vier Nächte unablässig im Kampf und ohne jeden Schlaf, das zermürbt die besten Nerven. Gross war

aber das Erstaunen des Rittmeisters, als ihn deutsche Soldaten aus dem Schlaf und aus dem Bett hielten. Das Dorf war inzwischen besetzt...

Während wir einen Blick in eines der Zimmer tun, erfahren wir, dass auch zwei Generale im Lager sind. Einer davon, ein Divisionsgeneral, war früher unter Pilsudski Generalstabschef. Sie haben, wie es ihnen rangmässig zukommt, ein Einzelzimmer und dürfen sich polnische Burschen halten.

Wir unterhalten uns mit dem englischen Major, der auch bei der Schilderung seiner dramatischen Notlandung über Thüringen die Zigarette nicht aus dem Munde nimmt. Danach ist der Brite, dessen Maschine ausser der fünfköpfigen Besatzung noch allerlei „Flatterballast“ an Bord gehabt haben dürfte, mit seiner Maschine über Thüringen (!) defekt geworden. Die Richtung scheint uns sonderbar, und wir fragen, ob er die Orientierung verloren habe. „Perhappas, a little“, nun, dieses „ein wenig“ dürfte aber über 90 Grad gewesen sein. Jedenfalls musste er kurz vor Sonnenanfang notlanden und wurde dann von zwei Landbewohnern, von denen einer englisch sprach, mit seiner Besatzung gefangen genommen. Bevor er dann in das Gefangenelager kam, liess Hermann Göring sich den Captain kommen, was dem Engländer sehr imponiert hat. Endlich neigt sich das Gespräch der politischen Lage zu. Als von der Freundschaft England-Polen die Rede ist, wird das Gesicht des Majors etwas bitter. „Ich wünsche mir Frieden“, meint er, „schon damit ich wieder nach Hause kann.“

Dann sind da noch die beiden Franzosen, die über ihre Gefangennahme ungefähr folgendes angeben: Sie hatten den Auftrag, über den eigenen Grenzübergang gegenüber dem Saargebiet Patrouille zu fliegen. Da beobachtete der Major ein französisches Flugzeug, das mit deutschen Jägern im Luftkampf war und mit einer Rauchfahne niederging. Aus Neugier wagten sich die Franzosen nun näher heran, und schon sasssen ihnen, als sie sich über deutschem Hoheitsgebiet befanden, zwei deutsche Jäger, welche uns zur Erde drückten. So hatte sich unsere Neugierde geendet. Von dem Benehmen und Unterbringen ussers sie sich sehr Gut.

Englisches Schlachtschiff versenkt

Grosser Erfolg eines deutschen U-Bootes

Wie der englische Rundfunk bekannt gibt, ist das englische Schlachtschiff „Royal Oak“ (12150 Tonnen) durch den Angriff eines deutschen U-Bootes versenkt worden. Zu der Versenkung des Schlachtschiffes „Royal Oak“ gab Reuter folgende ergänzende Mitteilung:

„Die Admiralität teilt mit: Der Marineminister bedauert, mitteilen zu müssen, dass S. M. Schiff „Royal Oak“ — wie man glaubt, durch ein U-Boot — versenkt worden ist. Eine Liste der überlebenden wird sobald wie möglich ausgegeben.“

Zur Versenkung des „Royal Oak“ durch ein deutsches U-Boot bemerkt das Reuterbüro weiter, dass es nach der Versenkung des Flugzeugträgers „Courageous“ der zweite schwere Verlust, der die britische Flotte trifft. Hier ist die Frage zu stellen: Hat London die Versenkung des zweiten britischen Flugzeugträgers vorgesehen? Will man jetzt auf unsere oft wiederholte Frage antworten, wo die „A r k

R o y a l“ ist? Wann wird man zugeben, dass die Kriegsmarine Seiner Majestät einen zweiten Flugzeugträger verlor? Wann wird sie die Liste der überlebenden herausgeben, oder gab es bei dieser Katastrophe überhaupt keine Überlebenden?

Skandinavische Konferenz in Stockholm

Die nordischen Staatsoberhäupter treffen sich in der nächsten Woche.

Der König von Schweden hat — wie amtlich mitgeteilt wird — die Könige von Dänemark und Norwegen sowie den Staatspräsidenten der Regierung Finnlands zu einer Zusammenkunft in Stockholm eingeladen. Der König von Dänemark und die beiden anderen Staatsoberhäupter haben diese Einladung angenommen und werden in Begleitung ihrer Aussenminister nach Schweden reisen. Die Stockholmer Konferenz wird am 18. Oktober stattfinden.

Lucrezia und der grüne Himmel

Erzählung von Josef Harrer

Als der „Maler Angelo di Cosimo, den man Bronzino nannte, im Sommer des Jahres 1532 von Pesaro, wo er zwei Jahre lang am Hofe des Herzogs Guibaldo gemalt hatte, gegen Florenz ritt, überraschte ihn nahe bei einem alten Kastell ein plötzlich ausströmendes Ubergewitter. Ein Sturmwind raste durch die Schlucht. Bronzinos Pferd bäumte sich auf. Nur mit Mühe konnte der Maler sein Pferd beruhigen. Er lenkte es einer kleinen Hütte zu, die unterhalb des Kastells wie ein Vogelstern am Felsen lehnte.

Dort band Bronzino sein Pferd an und betrachtete dann die Landschaft, die in wertvoller Färbung vor ihm lag.

Die Sonne stand tief; vereinzelt Strahlen schoben sich durch die wichtigen Wolken. Rötliches Dunkel erfüllte die Gegend. Und plötzlich bekamen die Wolken eine seltsame grüne Farbe, wie er sie noch nie am Himmel gesehen hatte.

Bronzino liebte aussergewöhnliche Farben: dieser grüne Himmel brachte ihm Entzücken, das seine Malerphantasie unglaublich anregte.

„Nun sollte sich ein schöner Mädchenkopf mit goldhellen Haaren von diesem Wolkengrün abheben!“ dachte Bronzino. Im gleichen Augenblicke eilte hastig eine Frau den Weg herauf, der an Bronzino vorbei zum Kastell führte. Bronzino starrte dem schönen Mädchen entgegen. Ihm war, als träumte er. Sekundenlang blieb nun das Mädchen stehen und atmete hastig. Ihr goldenes Haar tauchte in das Grün der Wolken. Bronzino sah, was er sich eben gewünscht hatte.

Schon wollte das Mädchen weiterreiten, als ihr Bronzino, den sie nicht be-

merkt hatte, mit lauter Stimme zurief: „Donna, Donna, ich bitte Euch, bleibt stehen, wie Ihr steht!“

Das Mädchen stutzte. Als es den braunen Maler erblickte, lachte es und rief: „Ihr wollt wohl, dass mich das Gewitter erreicht, dass ich durchnässt werde?“

Bronzino hatte inzwischen sein Malgerät aus der Satteltasche geholt und meinte:

„Es wird nicht regnen! Aus grünem Himmel kommt kein Regen! Ich bitte Euch, Donna, bleibt! Ich will Euch malen.“

Das Mädchen sah furchtsam gegen Himmel und blieb stehen. Das Bild, das Bronzinos Augen einsaugten, war schön wie ein Traum. Hastig zeichnete er, dann griff er zu Pinsel und Farbe.

Der Sturm hatte sich gelegt; das Grün der Wolken blühte heller, und aus Ritzen der grünen Wolken leuchtete tief blauer Himmel.

„Ich bin müde. Seid Ihr noch nicht fertig?“

Bronzino bat: „Noch einige Minuten, Donna! Ihr seid schön wie die heilige Madonna“. Als er die Skizze beendet hatte, kam das Mädchen näher. „Ich bin der Maler Angelo di Cosimo di Mariano, den man überall Bronzino nennt!“

Das Mädchen sah ihn erstaunt an. „Ihr seid Bronzino? Ich dachte, Bronzino sei ein alter Herr!“ Der Maler lachte. „Und wer seid Ihr?“ „Ich bin Lucrezia, die Tochter des Pietro di Malti. In dem alten Kastell mohne ich“. Sie betrachtete Bronzinos Skizze und freute sich darüber. „Ihr könnt heute nicht mehr weiterreiten“, sagte sie dann. „Die Nacht

kommt bald. Wollt Ihr bei uns übernachten?“

Bronzino stimmte gerne zu...

Einige Wochen später, als Bronzino in Florenz von dem Fürsten Panciatici den Auftrag bekam, ein Gemälde der heiligen Familie anzufertigen, erinnerte sich der Maler an sein Erlebnis mit Lucrezia. Schon damals hatte er das Mädchen als Madonna angesehen. Ihr freundliches Wesen, ihre Gastfreundschaft, ihre natürliche und doch unendlich vornehme Schönheit bewogen ihn, die Skizze, die er von ihr gemacht hatte, für sein Gemälde zu verwenden. Er ritt am nächsten Tag zum Kastell der Malti und sprach mit Lucrezias Vater. Als dieser den Namen Panciatici hörte, brauste er auf.

„Nie und nimmer! Die Panciatici sind die grössten Feinde unserer Familie!“

Bronzino war ratlos. Als er dann mit Lucrezia allein war, klagte er ihr sein Leid. Das Mädchen lachte und sagte:

„Ich werde zu Euch nach Florenz kommen. Was hat die Kunst mit der Feindschaft der Menschen zu tun?“

Und so geschah es auch. Ohne dass ihr Vater davon wusste, stand Lucrezia dem Maler Modell. Wieder wölbte sich der grüne Himmel und wieder blühte Lucrezias süßes Angesicht mit den goldenen Haaren vor den grünen Wetterwolken.

Das Gemälde war beendet. Als der Fürst Panciatici mit seinem Sohne Bartolomeo, von Bronzino verständig, in das Atelier kam, sah er lange schweigend das Bild an. Dann lobte er die Schönheit des Gemäldes und vor allem die Schönheit der Madonna.

„Ich sollte die Züge kennen“, meinte er nachdenklich. Sein Sohn Bartolomeo aber winkte heimlich dem Maler und gab ihm zu verstehen, dass er mit ihm allein reden wollte. Als der Fürst ging, blieb Bartolomeo und fragte errötend:

„Wer ist Euch Modell gestanden? Sagt es mir, Bronzino!“

Bronzino lächelte. Dann sagte er: „Ihr sollt sie morgen kennenlernen! Wir reiten bei Morgengrauen.“

Pietro di Malti war wütend, als er am nächsten Tage von Bronzino erfuhr, dass seine Tochter für die Panciatici gemalt worden sei. Aber dem vereinten Zureden des Malers, Bartolomeos und nicht zuletzt Lucrezias, die sofort an den jungen Panciatici Gefallen gefunden hatte, gelang es, den alten Malti zu bewegen, mit nach Florenz zu reiten.

Am Abend kam dann Bartolomeo mit seinem Vater wieder in das Atelier Bronzinos. Dieser stand lächelnd neben dem Gemälde und sagte zu dem Fürsten:

„Euch ist gestern die Madonna meines Gemäldes bekannt gekommen. Wollt Ihr sie sehen?“

Und er rief Lucrezia, die hinter einem Vorhang gestanden war. Der Fürst starrte das Mädchen an und sagte zögernd:

„Ihr seid eine Malti! Oder irre ich mich?“

Das Mädchen sprach nichts und saß ihm in die Augen. Da rief Bartolomeo: „Ja Vater, es ist Lucrezia di Malti! Und ich bitte Euch, Vater, erlaubt, dass sie meine Gattin werde!“

Der alte Panciatici ballte die Fäuste. Aber Lucrezia sah ihn unentwegt an. Da sagte er mit gepresster Stimme:

„Nnd Pietro? Euer Vater?“

„Der will mit Euch Frieden schliessen.“

sagte der alte Malti, der sich hinter dem Gemälde versteckt hatte...

Bronzino war allein... Es war längst Nacht geworden. Das Licht des Mondes schien durch das Fenster und legte silbernen Glanz über das Gemälde. Bronzino wischte sich eine Träne aus den Augen, streichelte über das goldene Haar seiner Madonna und flüsterte:

„Gemaltes Glück, seliger grüner Wolkenhimmel!“

Und er wusste: Glück und Liebe sind ein Hauch, Rüstst aber überdauert Leid und Entsaung.

Legenda o grzybach

Od najdawniejszych czasów grzyby uważany był u wszystkich niemal mieszkańców ziem za istotę tajemniczą i związaną z nieznanymi, cudownymi wprost mierzającymi właściwościami.

I dlatego też od czasów najdawniejszych był grzyb bohaterem, a co najmniej groteskowym szafarzem, przesłuchanych baśni ludowych i poszukiwanym leczniczym środkiem w wielu chorobach.

W znanych baśniach braci Grimmów widzimy często grzyba (czerwonego muchomora) w postaci leśnego karzełka, gdzie indziej znów w postaci naturalnej, jako baldachim ponad głowami weselnym gości w dżdżystą noc świętojańską. Któż z nas nie pamięta z dziecięcych lat dreszczem przejmujących nainną duszy, szukającą wszędzie strachów i czarów, owych przesłuchanych obrazków, przedstawiających takie weselisko pod kapeluszem ogromnego muchomora!

Młoda parka much ująwszy się pod boki, zjawia się w obrotach przy dźwiękach baseli i skrzypiec koników i świeczy. Wokół gości weselnego pośród całego owadziego świata. A wszystko oblane rześmiałym światłem robaczek świętojańskich, które, uczepiwszy się wisusowato krawędzi kapelusza muchomora, przyswiecają weselisku tak mocno, że aż zdemaskowały czającą się opodal pod krzakami paproci straszliwą ropuchę, co już — już rzucić się miała i poćreć jednym zamachem wszystkich wraz weselników.

Jak powstał na świecie grzyb, oczywiście w ustach ludu, mówi o tym polska legenda górnośląska. Bo w całej Polsce wiedzą, że „grzyby co roku sieje św. Piotr”; ale skąd bierze do swego siewu nasienie, o tym wie u nas mało kto, a wyjaśnia to owa legenda.

Brzmi ona tak:

„Swego czasu, gdy Chrystus Pan chadzał po świecie — a brał z sobą zawsze w podróz św. Piotra — przyszedł raz z nim na ziemię polską. Ubogo tu było wszędzie, ale ludzie chętnie wrota ciał swoich niebieskim gościom i uszy, serc swoich niebiańskim słowom otwierali.

I szedł Pan z świętym Piotrem przez ziemię polską wszędzie ucząc, uzdrawiając, błogosławiając.

Aż przyszli na skraj ogromnego boru, gdzie nad strumieniem stała wpadnięta

w ziemię, ze starości pokrzywiona, biedna chatupina. Z otwartych wrót chaty siedmioro drzących z zimna i głodu, w koszulach tylko, dzieciąt szlochaniem zawodzi; na łóżku matka ich umierająca, opuszczona przez ludzi wdowa.

Pomknął więc ku niej Pan z mocą miłości i cudu, a św. Piotr przystąpił tymczasem wedle kominka, mówiąc pacierze.

Ale zmordowany był i zgłodzony okrutnie.

Więc, nie przerywając modlitwy, zerkał tu i ówdzie, badając, czyby gdzie nie było co do zjedzenia.

Aż patrzy — i oczom nie wierzy! — za kominem kawał czarnego, czerstwego chleba!

Niedługo się opędał pokusie! Przecież człowiekiem tylko był, a tak bardzo głodnym i strudzonym.

I chleb chytkiem wzięł i ukrył w zanadrzu.

A gdy Pan cudu dokonał, błogosławiając i głaszcząc główki rozradowanych dzieciąt, wyszedł wraz z świętym z chaty.

Przyrządy do mierzenia wzrostu drzew

Nad zagadnieniem wzrostu drzew i przyczynowym wyjaśnieniem zmian periodycznych jakim podlegają drzewa pracowali uczeni lata całe.

Pewne światło na tę niejasną sprawę rzucił jednak dopiero badanie dokonywane nowymi metodami przez botaników angielskich i amerykańskich.

W roku 1917 A. Mallack posługując się aparatem, którego główne części składowe stanowiły obrotowy z inwaru (alajaz żelaza i niklu o minimalnym współczynniku rozszerzalności = 0.00000015 na 1 proc. C) i połączone z nią zapomocą stosownego mechanizmu płytki szklane wykazujące interferencje światła a przez zmianę prążków interferencyjnych — wzrost z dokładnością 1/50.000 cm przyrostu obwodu pnia, wykazał, że maksimum dziennego wzrostu drzew — przypada na wczesne godziny poranne, minimum na południe i że grubienie drzew pozostaje w całkiem ścisłej zależności od zmian temperatury i opadów.

W roku 1918 Mac Dougal skonstruował

Weszli w bór. Ścieżyna jedna tylko, widła przezeń wąską, więc Pan przedem szedł w modlach i zadumanu, a św. Piotr za nim.

Widząc święty, że Pan pograżony w sobie uszczęknął odrobinę chleba i ponosił do ust. Lecz ledwo go gryzł i poczuł smak, zagadnął go zniemacka Chrystus.

Trudno! Odpowiedzieć trzeba było, a nie zdradzić się! Więc wypuścił cicho św. Piotr chleb do garści i wyrzucił za siebie odpowiadając Panu.

A Pan po chwili znów popadł w zadumę.

Więc znów św. Piotr chytkiem wetknął w usta okruszynę chleba. Ale nie zdołał jej jeszcze zżuć, gdy Pan ponownie go coś zagadnął. I znów święty w garść wypuścił chleb i rzucił za siebie.

I tak powtórzyło się wiele wiele razy, aż św. Piotr ostatnią kruszynę skradzionego chleba wypuścił, nie przeknawszy ni drobiną.

A wtedy dopiero odwrócił się doń Pan i rzekł:

— Piotrze! znam twój grzech! Ukaraną zaś będziesz tak, że ci człowiek lakomstwo twe wypominać będzie do końca świata!

Ale krzywdy, wyrządzonej biednym

sierotom, nie naprawisz, boś człowiek tylko! Obejrzyj się i popatrz!

Za czym, pełnią wstydu i pokory, ale i ciekawością zdjęty, odwrócił się św. Piotr co żywo i ujrzał cud! Oto wszędzie, wszędzie, jak daleko okiem sięgnąć, na ścieżynie, która szła gdzie tylko najmniejsza drobina chleba padła, rósł wspaniały, soczysty grzyb, rozpiękający się dumnie wśród traw i mchów i nęcący oko tajemniczą wielkością swych barw i kształtów.

Od tego czasu rok w rok św. Piotr sieje grzyby po ziemi polskiej, na której ongiś biednym polskim dzieciom zabrakło ostatni kęs chleba.

I z tego to chleba od nowa Bóg robi nasienie a św. Piotr puszcza je z deszczem na ziemię; dlatego to, ledwo deszcz spadnie, już rosną grzyby jak wówczas, gdy Chrystus Pan chadzał z świętym po ziemi, jak wówczas, gdy z kruszynki każdej, ledwo co przez świętego porzuconej, grzyb wyrastał. Więc wciąż i wciąż, gdzie tylko nasionko niewidzialne padnie, wyrasta zaraz grzyb, nocy każdej, co dnia, do samutkiego końca świata!

A nasamprzód sieje św. Piotr grzyby w Polsce, której dzieciom przecie dług copredzie oddać musi! Dopiero z ziemi polskiej rozsiewają się same już grzyby po świecie całym, gdzie ich nigdzie nie ma tyle i tak pięknych, jak w Polsce!

A zbierając je zwłaszcza chętnie biedne dzieci polskie, wiedząc, że grzyb, to Boży chleb, od prawdziwego wiele mocniejszy i lepszy! Jakoby bowiem mogło być inaczej, skoro Pan Bóg grzybem zapłacił ludzom za skradziony chleb, a wynagradzając krzywdę Bóg nie poskąpił chyba, by dać za lepszą rzecz gorszą ale odwrótnie!

Jest więc grzyb chlebem nowym, a lepszym, tylko, że ludziom i ten się uprzykszył i zbierać go nie chcą, zanim zdołają poznać wszystkie jego odmiany i wartości i lepszy! Jakoby bowiem mogło być inaczej, skoro Pan Bóg grzybem zapłacił ludzom za skradziony chleb, a wynagradzając krzywdę Bóg nie poskąpił chyba, by dać za lepszą rzecz gorszą ale odwrótnie!

I oto tak rodzą się grzyby trujące!

**OGŁASZAJCIE SIĘ
W
„GONCU CZĘSTOCHOWSKIM”**

Tadeusz Dolega Mostowicz.

Złota Mask

POWIEŚĆ

Biesiadowski zadył na czas.

— Czemu pan nie wziął taksówki — skrzywiła się Magda, widząc jego spódnice i szeroko rozpięte szaradrowe palto — mniej panu szkoda zdrowia niż tych paru groszy. Ma pan bilety?

— Mam, a jakże — odpowiedział zdyszany — nawet bardzo dobre w dziesiątym rzędzie na parterze.

W jego tonie była jakby chęć zaznaczenia, że chociaż sobie na taksówkę żałuje, ale dla niej gotów, aż na taki wydatek, jak dziesiąty rząd.

— Chodźmy — powiedziała sucho.

— Długo pani czekała, panno Magdalenko?

— Pewno. Mezczyzna nie powinien się spóźnić nawet o sekundę — odrzuciła ciępkę.

Zdawała sobie sprawę, że niesłusznie traktuje go tak szorstko. Nigdy przecie nie spóźnił się i widocznie dzisiaj miał jakieś ważne powody. Jednakże irytowała ją to gabardynowe palto, zużyty kapelusz i cała jego mina.

Weszli do hallu i z trudem przeciskali się do wnętrza pośród tłumu.

— Niech pan zostawi palto w szatni — szepnęła.

— POCO? — zdziwił się i wskazał widniejący nad szatnią napis „Szatnia nie obowiązuje” — szkoda wydatku. Dużo ludzi wchodzi w palta.

Nie chciała mu już robić przykrości i odpowiedzieć uwaga, która cisnęła się jej na usta: „W palta, ale nie w takich.

Wielka sala zdawała się już być peł-

na po brzegi, a wciąż napływała publiczność. Bileterzy, młodzi, rośli chłopcy w białych liberach upakowywali ją szybko i sprawnie. Pod wysokie sklepienia bił potężny, tysiąciogłosowy gwar zmieszanych okrzyków, rozmów, nawoływań się i śmiechu. Magda i Biesiadowski ulokowali się na swoich fotelach w sam czas: właśnie zgasy światła, w orkiestrze zabrzmiał długi mocny akord, sala przybliła i rozpoczęła się uvertura. Na tle purpurowej kurtyny, u dołu krwistej od światła, a prawie czarnej u góry, zarysowała się wysoka smukła sylwetka kapelmistrza we fraku.

Premiera wielkiej wiosennej rewii Złotej Maski była rozpoczęta.

Magda z biciem serca czekała na podniesienie kurtyny. Pierwszym numerem miał być występ zespołu girls, ten sam Taniec Dionizyjski, który przygotowywano w szkole pani Iwony od dwóch miesięcy, a który poza dwunastu koleżankami, występującymi na scenie, uniały doskonale wszystkie pozostałe z Magdą na czele. Ileż pracy, ile pomysłów włożyła w to pani Iwona, ile wysiłku każda z nich. Każdy ruch, każdy gest, każdy uśmiech był tu obmyślony, tysiąc razy przerabiany i próbowany. Magda wiedziała, że musi to wypaść cudownie, lecz gdy wreszcie rozsunęła się kurtyna, a na scenę, tonącą w zieleni kwiatów wbiegły one, prawie nagie, tylko w przezroczystych żorżetowych tunikach, z wiankami na głowach i w złotych paskach — aż zdziwiła się. Z opowiadań dobrze orientowała się, jak to ma wyglądać. Rzeczywiście! Jednak przeszła wyobraźnię. Z początku nie mogła ich rozróżnić, takie w tym świetle i przepychu wydawały się jednako. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznała Białkównę, Zosie Jasionowską, Jolę Brandtmayerkę, Bełę Kantarek, Staśkę, Żukowską, Rybowiczównę, Paulę Zysmanównę — wszystkie. Były

tak umalowane, że raczej poznawała je po charakterystycznych ruchach: Staśka zanadto przechylała się w trzeciej figurze, Jola wciąż sztywno zginała się w pasie, jakby nadstawiała się do klapsa, Beła Kantarek pięknie, najpiękniej ze wszystkich wyprostowywała stopę. Jej nogi to wogóle cudo.

Magda zwróciła na to szeptem uwagę Biesiadowskiego, lecz ten siedział zapijony i nie mógł się połączyć, o kłóci chodzi. To zniechęciło Magdę i nie odrywała już oczu od sceny.

Taniec się skończył. Przed zaciągnięciem kurtyna zjawił się konferansjer i jednocześnie reżyser Złotej Maski, Kamil Bończa. Magda nasłuchiwała się tyle o jego surowości, o tem, że to „pies przy pracy, a świnia w życiu”, że doznała milego rozczarowania. Przed rampą stał szczeni, wytworny mezczyzna, czarując i tajemniczo uśmiechnięty. Mówił powoli, ciepłym, niskim głosem. Prawie po każdym jego zdaniu na widowni wybuchał głośny śmiech. Siedzący obok Biesiadowski cały przechylił się naprzód: chichotał nieczem zarzynana kura. Bończa był ulubieńcem publiczności, duszą teatru, i nie dziwnego — myślała Magda. To, co gadały na koleżanki, było wręcz nieprawdopodobne. Patrząc na Bończę, Magda czuła, że tonię w niej bez reszty obawa przed kulisami teatru. Oczywiście, te sprykiarki umyślnie opowiadały najgorsze wymysły, żeby odstraszyć inne.

Tymczasem kurtyna znowu się rozsunęła. Hawajska noc, palmy, księżyc i banio. Nina Hańska napętna sale cudownym altem. Burza oklasków, i znowu zmiana, i znowu.

Ze sceny wrost promieniowała radość, piękno, humor, zabawa — inne, barwne, bogate, wesole życie. Powiadają, że to sztuczne, robione, że wymaga ciężkiej pracy. Ależ doskonale. Lepiej jest mieć „sztuczna” radość, niż żadnej leniwej pracować w różnobar-

nej tęczy światła, w jedwabnych strojach, przy dźwiękach orkiestry, niż w jatce, gdzie śmierdzi surowym mięsem z głupia Adela, z wygłancowanym Edmudem i z ojcem, który niczem biskup przy ołtarzu, tak odprawia przyłazie swoje nabożeństwo. Pracuj! Magda nie bała się pracy. Gdy trzeba było, potrafiła noc całą nie spać, a uszyć sobie bluzkę, czy zrobić dzemperek, a później siedzieć w sklepie i wieczorem iść do szkoły. Nie bała się pracy. I tylko głupi balby się, skoro widzi, do czego można dojść. Taki Kamil Bończa, to znakomity reżyser, ale pracy się nie bał i teraz na podobno dużo pieniędzy, jeździł wspaniałym samochodem, mieszkał w cudownej garsonierze. Słowem ma, czego tylko zapagnie. Taka Hańska była kiedyś zwykła „girla”, a dziś jej fotografie są we wszystkich ilustracjach, żyje z jakimś hrabią i każdy w Warszawie wie, że to ona. Już nie mówiąc o takiej Renie Turskiej, za którą cała Warszawa szaleje. A jej ojciec nazywał się Kwiek i był histonosem.

Zresztą czyż nie jest szczęściem, żeby nawet więcej nie mieć, te brawa, te oklaski, ten entuzjazm publiczności.

Rena Turska w różowej spódnice małej dziewczynki i siatka na motyle w ręk, musi to już coś dziesiąty raz wychodzić przed kurtynę, a sala wyje, a ludzie powstawali w miejscie i biła brawa, a bileterzy w białych liberach ustawiali u jej nóg wspaniałe kosze kwiatów...

— Boże! Przeżyć jedną taką chwilę! Wszystkie kobiety jej zazdrościły, wszyscy mezczyźni pragnęli ją zdobyć.

— Bravo! Rena! Bravo, hist — ryczy widownia, a Magda czuje, że serce się ścisła, że oczy zachodzą mela.

— Przeżyć jedną taką chwilę... Być tak podziwiana, tak kochana...

Odpowiedzialny redaktor: Franciszek Sowiński (Ma).

Durchschnitts-Auflage der letzten Wochen: 12.000 Exemplare täglich. Präzentierte Auflage der letzten Wochen: 12.000 Exemplare täglich.

Druk „Goniec Częstochowski”. — Gesamtleitung als Treuhänder: Paul Majunke Lange.